

## Z albumu i pamięci - wspominki Edwarda Hartwiga

Na fotografiach z albumu *Mój Kazimierz* czas jakby poblądził w zaułkach miasteczka. - Kocham Kazimierz - mówił po promocji swojego albumu Edward Hartwig. Obok zdjęć współczesnych, obrazy jeszcze międzywojenne. Ludzie, budynki, przyroda... I klimaty, których już nie ma. - *Po raz pierwszy pojechałem do Kazimierza lako harcerz z drużyny harcerskiej gimnazjum Staszica - wspomina nestor polskiej fotografii.*

- *Jechało się kawalek autobusem prywatnym. Potem powoli furmanką do Puław. A potem na piechotę przez wąwozy lub wały. W gimnazjum Staszica miałem kolegę, którego ojciec był felczerem w Kazimierzu. Mieszkał w domku naprzeciwko kawiarni Berensa [późniejsza „Esterka” - przyp. P. J] na pierwszym piętrze. Zapraszał mnie do Kazimierza na soboty, niedziele. Z okien obserwowałem malarzy u Berensa. Przychodzili w białych, uwalanych farbami spodniach. Nosili berety - ekskluzywna moda z Hiszpanii. Zadziwiały ich stroje i obyczaje, pomysły. Wtenczas natykałem się tego innego świata. Najpierw była fascynacja z daleka, później zacząłem się z malarzami przyjaźnić. Kazimierz stał się moją potrzebą. Przyjeżdżałem często, żeby „być w Kazimierzu”. Gdy już zająłem się fotografią, patrzyłem na Kazimierz nie tylko jako fotograf, ale jak człowiek, który chce od siebie dołożyć coś, dać. Spróbować, zaryzykować. I „bycie w Kazimierzu” ładowało akumulator na inny czas, kiedy przyjechałem z aparatem. To jedyne takie miasto w Polsce: największa pracownia twórców sztalugowych i największy salon sztuki. Do dzisiejszego dnia pobyty tutaj są dla mnie rodzajem święta. Dlatego bardzo mnie cieszy, że mogłem wydać w tym roku album „Mój Kazimierz”.*

### Album lubelski

W roku 1997 Wydawnictwo UMCS wydało album *Mój Lublin* - pierwszy z planowanego cyklu albumów fotografii Edwarda Hartwiga. Propozycja wydania albumu z fotografiami dawnego Lublina bardzo wzruszyła sędziwego mistrza. - *Ci młodzi ludzie przyjechali do mnie, do Warszawy, z miasta mojej młodości - opowiada. - Powiedzieli, że chcą zrobić album o Lublinie przeze mnie wykonany. Nie dokument, a album typu literackiego. Dali mi absolutną swobodę twórczą: „Pan będzie decydował” - powiedzieli. Wynik naszej wspólnej pracy zachwyca mnie. Zostałem odczytany właściwie. Przeważnie wydawane współcześnie piękne w kolorze albumy są tylko dokumentem. Oczywiście dobry dokument jest potrzebny, bo informuje. Brakuje w nim jednak ducha twórczego. Już dawno w Europie czy na świecie wydają małe albumiki autorskie fotografa: piękna fotografia*

*oparta na treściach literackich. I myślę, że właśnie Wydawnictwo UMCS przełamało w Polsce barierę. Tu się otwiera nowa droga. My ją otwieramy, ja i to wydawnictwo - teraz będę robił następny album. Znowu dają mi absolutną wolność.*

*Album Mój Lublin zawiera wiele zdjęć zrobionych w latach dwudziestych, trzydziestych. - Lublin to gniazdo mojej rodziny. Oczywiście tęsknię za nim - mówi pan Hartwig z widocznym poruszeniem. - Chowam w pamięci serdeczny obraz miasta mojego dzieciństwa. Tam się wychowałem, tam urodziły się moje córki, tam miałem przyjaciół. Jest to miasto, które może się podobać, do którego można wracać, którym można się chwalić. Przyjeżdżam do Lublina, jeżeli tylko mogę. Niestety jestem czasowo ograniczony. I mam swoje lata. Czasem odwiedzam podwóreczka Lublina z moją siostrą Julią i mówimy: tu mieszkał taki, a tu mieszkała taka. Mam wspomnienia nie tylko formy, ale i wnętrza osobistego. Jestem pełen wdzięczności za ten album lubelski, l podziwu. Byłem tak wzruszony, że się rozplakałem.*

### **Fotograf z miłości**

Edward Hartwig pochodzi z rodziny o dużych tradycjach fotograficznych. „Foto Art.” ul. Krakowskie Przedmieście 29 - pracownia fotograficzna ojca Edwarda, Ludwika Hartwiga, przed wojną uznana była za jedną z najelegantszych w Lublinie.

*- Może będzie to niespodzianką, ale nie chciałem zajmować się fotografią - uśmiecha się mistrz polskiej fotografii. - Mój ojciec wręcz wypędzał mnie z aparatem. Dawał mi aparat na szklane płyty, trzy kasety i mówił: „pójdź, zrób coś na Starym Mieście”. Mam jeszcze takie zdjęcie z Lublina. Wisi u mnie w domu. Przymierzałem się na plastyka i przygotowywałem do egzaminu do Akademii Sztuk Pięknych w szkole prywatnej profesora Wiercińskiego. Byłem zaprzyjaźniony z grupą ciekawych malarzy w Lublinie i Kazimierzu. Zostałem zaakceptowany jako swój człowiek. Asystowałem im, rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy. Na pewno doszedłbym do egzaminu na Akademię, ale stała się ważna rzecz w moim życiu: zakochałem się. Raz a dobrze. Miałem za punkt honoru, żeby nie być na garnuszku taty. Przyszedł moment, gdy stałem się następcą mojego ojca fotografa. Zacząłem fotografować. Zajmowałem się portretem, bo za to ludzie mi płacili.*

### **Niedosyt**

Profesjonalna pracownia Edwarda Hartwiga na ulicy Narutowicza 19 posiadała atelier z przeszklonym dachem.

*- Nie robiło się jeszcze zdjęć przy świetle sztucznym. Każdy fotograf, który specjalizował się w portrecie, a ojciec był właśnie portrecistą fotograficznym, musiał mieć taką samą pracownię, jak malarz: to znaczy górne światło, boczne światło - wyjaśnia sędziwy artysta. - Wymagało to sporych kosztów. Pracować mógł fotograf do zmierzchu. W zimie do pierwszej, drugiej godziny i trzeba było pracę odłożyć na drugi dzień. Również odbitki kopiowało się na dziennym świetle. Materiały były bardzo mało światłoczułe. Zacząłem zarabiać i wciągnąłem się w ten niechciany przeze mnie zawód. Ciągle jeszcze nie zrezygnowałem z myśli o Akademii. Moje zainteresowania poszerzyły się*

*dzięki moim marzeniom i szkole profesora Wiercińskiego. Czulem w sobie możliwości, których nie umiałem zrealizować. Dokuczał mi niedosyt twórczy w fotografii. W ogóle za bardzo w owym czasie nie mówiło się o twórczości w fotografii. Fotografia była szanowana jako rzemiosło, lecz nie była jeszcze uznana za sztukę.*

### **Wiedeńskie odkrycia**

Gdy Edward Hartwig dowiedział się o instytucie graficznym w Wiedniu, na którym wcześniej studiowało już kilku Polaków, wysłał zgłoszenie. Wypełniony później kwestionariusz rozpatrzono w Wiedniu pomyślnie i młody fotograf został przyjęty na studia. Był rok 1928.

*- Dzięki pomocy mojej żony, która przejęła obowiązki zawodowe i utrzymywała mnie, mogłem pobierać nauki przez dwa lata, z przerwami - opowiada. - Nowe umiejętności prędko starałem się wprowadzić u nas, w zakładzie. Było to trudne dlatego, że Instytut był wyposażony, jak na tamte czasy, w najbardziej specjalistyczne sprzęty. Najciekawsze obiektywy, wnętrza, lampy, sztuczne światło itd. Tego w kraju nie miałem. Żelazny piecyk, nawet wody nie było w pracowni: płukało się przy studni na podwórku.*

Każdy student musiał przejrzeć ogromną bibliotekę Instytutu i napisać rozprawę o tym, co go najbardziej zainteresowało. Dla fotografa z Lublina materiały, jakie znalazł w bibliotece, piękne albumy były odkryciem.

*- Doświadczyłem wówczas szoku, że już powstało tyle ciekawych, nowych rzeczy w fotografii. Mnie to oczy otworzyło, że oprócz normalnych prac zarobkowych, których nie lekceważyłem, można tak twórczo działać.*

### **Wyprawy w plener**

Edward Hartwig przyjaźnił się z malarzami. Towarzyszył im na plenerach, toczył dyskusje. Sprzyjało to rozwojowi i ukierunkowaniu jego potrzeby twórczej.

*- Mam wartościowe wspomnienia, bo to byli malarze dużej klasy. Kononowicz, Michalak, Karmański - wspomina z nostalgią. - Chodziłem z nimi początkowo jako kibic, później z paletą. Do Kazimierza przyjeżdżałem bardzo często. Już w 1925 zacząłem robić zdjęcia zupełnie inne od zawodowych: dla siebie. I tak z tego niechcianego fotografa, ja zakochałem się w fotografii.*

Próbował przede wszystkim robić pejzaże. Na fotografowanie prywatne jednak nie starczało czasu.

*- Musiałem czekać m klienta w zakładzie. Wstawałem więc o czwartej rano i szedłem nad Bystrycę. Była większą rzeczką niż dzisiaj i stały tam takie chaty strzechą kryte. Prymitywne, lecz pełne uroku. Na tamte czasy uważano, że bardzo polskie i nikt się tego nie wstydził. Tam robiłem moje obrazy fotograficzne.*

Sprzęt fotograficzny, jakim dysponował Edward Hartwig podczas swoich wypraw

fotograficznych, nie należał do poręcznych: aparaty na statywie, duże kamery. Kasety duże, ciężkie ze szklanymi negatywami. Każdy pejzażysta musiał mieć asystenta tragarza. Akt fotografowania wymagał większego namysłu, negatywów bowiem, ze względu na ciężar i koszty, brało się sześć, najwyżej dwanaście.

### **Pejzaże w tapczanie**

Po stu pięćdziesięciu latach niewoli Polska powstała na nowo. Jan Bułhak, mieszkający na Wileńszczyźnie mistrz przedwojennej polskiej fotografii, wskazywał drogę w kierunku raczej fotografii reporterskiej. Natomiast Edward Hartwig na fotografię przerzucił swe marzenia o malarstwie.

*- Bułhak był presją dla ludzi, którzy mieli aparaty. On wskazał, róbcie swoje otoczenie, róbcie swoje ojczyste pejzaże. Jego zasługa dla polskiej fotografii była olbrzymia. Polska fotografia pejzażu przeważnie naśladowała prace Bułhaka. Wówczas wszyscy się kochali w nowym polskim kraju. Mnie jednak - podkreśla Edward Hartwig - nie wystarczało kalkowanie krajobrazu Polski. Sposób mojego patrzenia nie tworzył dokumentu. Robiłem pejzaże zupełnie inne: impresjonizm.*

Wiele z przedwojennych prac nestora polskiej fotografii zaginęło lub uległo zniszczeniu podczas wojny. Edward Hartwig stwierdza, że fotografię którą uprawiał przed 1939 rokiem ceni sobie bardzo, a jej ponadczasowe walory przypisuje atmosferze ówczesnego Lublina.

*- Do dzisiejszego dnia nam zachowane zdjęcia - niektóre zawiera mój nowy album o Lublinie. Swoje obrazy fotograficzne robiłem do tapczanu. Nikomu nie pokazywałem - gdybym nawet chciał komuś zaproponować, to w tamtym czasie nie było magazynów, nie było albumów - wyjaśnia Hartwig. - Nie było możliwości prezentacji. Przed wojną wydawano magazyn „As” w Krakowie. Później miałem tam sześć czy siedem okładek. Co było wielką niespodzianką, że mnie znaleźli w Lublinie na prowincji. „As” to było czasopismo ekskluzywne. Zyskałem nazwisko.*

### **Pod opieką Agfy**

W Lublinie wśród kilkunastu sklepów, w których można było zaopatrzyć się w sprzęt i materiały fotograficzne, wyróżniał się Skład Apteczny Stanisława Magierskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście 25. Dostępne były tu odczynniki i papiery Agfy, Kodaka, Perutza, Franaszka oraz aparaty każdej marki.

Działający w Polsce przedstawiciele firm światowych jeździli po kraju, odwiedzając laboratoria znanych fotografów. Robili pokazy sprzętu i materiałów, demonstrowali nowe możliwości.

Agfa wydawała wówczas małego formatu albumiki portretów mające unaocznic możliwości, jakie dawało użycie materiałów tej firmy: jedno zdjęcie portretowe było pokazywane na różnych papierach sześć czy osiem razy.

*- Zdarzyło się, że Gewert, jeden z przedstawicieli Agfa, wziął ode mnie kilka odbitek portretów i wysłał do swojej firmy. Ukończyłem już wtedy studia w Wiedniu i moje spojrzenie odbiegało od*

*przyjętej w Polsce stylistyki. Zdjęcia bardzo im się spodobały - wspomina z pewnym zadowoleniem Edward Hartwig. - Kupili u mnie trzy wzory do swoich albumów. Później zaprezentowałem przedstawicielom firmy w Warszawie kilka spośród tych pejzaży, które wcześniej do tapczanu chowałem. Wywołały wielkie wrażenie. Przedstawiciel powiedział, że takich pejzaży jeszcze nie widział, w tym stylu. Poprosił, czy mógłbym kilka mu pożyczyć, żeby on pokazał u siebie w firmie. I tak się stało. Tym sposobem zyskałem sponsora: Agfa roztoczyła nad moją twórczością opiekę. Powiedzieli, że będą mi przysyłać materiał, jaki tylko zechcę, chemikalia i wszystko. Przez kilka lat przysyłali dwa razy do roku taką wielką paczkę na moje potrzeby. A materiały były drogie. Ja ten materiał przeważnie używałem nie w zakładzie, a właśnie na te swoje prywatne fotografowanie. Mogłem budować siebie jako twórcę.*

### **Paryska przygoda**

*- Czas mijał i zostałem odkryty. Kiedyś pewna delegacja francuska chciała zapoznać się z polską sztuką. Ktoś z tej branży plastyków warszawskich zaproponował, czy nie chcieliby moich prac zobaczyć. Przyszły trzy osoby. Pokazałem moje fotografie. Zachwycili się. Powiedzieli, że zrobią mi wystawę w Paryżu. Ja tam miałem przyjaciela - malarza Gąsiorowskiego. Lublinianin. Miał stypendium do Paryża w 1939 roku. Wojna go zastała. Zakochał się w tamtym kraju i tam pozostał.*

Gąsiorowski znał język, znał środowisko. Pomógł zorganizować wystawę Edwarda Hartwiga w Paryżu. Był to rok 1957. - *Wyjechałem w tamtym czasie komunistycznym do Paryża. Dali mi zezwolenie i dwutygodniowe stypendium. Dzięki pomocy Gąsiorowskiego zostałem miesiąc i poznałem Paryż galerii i pracowni malarskich. Oceniono moją wystawę bardzo wysoko. Dwa magazyny wychodzące w tamtym czasie o fotografii w Paryżu poświęciły jej wiele uwagi.*

### **„Fotografika” z Arkad**

Po powrocie z Paryża artysta dokonał przeglądu całego dotychczasowego materiału i sporządził makietę albumu o swojej sztuce fotograficznej. Nazwał go „Fotografika”.

*- Powiedziano mi, że Arkady są jedynym wydawnictwem w komunistycznym ustroju, które szuka twórczości artystycznej. Nikogo tam nie znałem. Przyjął mnie miły dyrektor. Pokazałem makietę. Nic nie mówił, w ciszy przekartkował te sto zdjęć... i w cztery godziny podpisałem umowę - sędziwy Edward Hartwig jakby ponownie przeżywał swoje zdumienie faktem takiego obrotu sprawy.*

*- Fotografika ukazała się w 1960 roku. Była pierwszym albumem, który przysporzył mi chwały, i pierwszym tak osobistym. Wówczas fotografia moja była rewelacją, bo ja zacząłem robić na wzór plakatów japońskich. Zrezygnowałem z przegadania, z dokładności, precyzji. Robiłem tak, żeby tylko było czarne-białe. To była nowa fotografia. Na podstawie tego albumu ja miałem ze trzydzieści wystaw w Europie. Oni na Zachodzie mnie nie znali, tylko ten album. Tu poligrafia okazała się bardzo ważna dla mojego nazwiska.*

## **O fotografii i poligrafii**

- *Dzisiaj poligrafia we wszystkich dziedzinach sztuk plastycznych jest potrzebą. Poprzez poligrafię robi się sobie nazwisko. Wystawa może być lepsza lub gorsza, to tak jak w teatrze - wyjaśnia Edward Hartwig. - Mija premiera i zapomina się. Natomiast jeżeli, tak jak przy promocji tych albumów o Lublinie i o Kazimierzu Dolnym, przeżywam miłe chwile, to dlatego, że zostały wydrukowane. Za czasów komunistycznych była poligrafia okropna - wspomina. - Wydawało się rzeczywiście dużo. I nakłady były po pięćdziesiąt tysięcy. Ale to nie było podobne do oryginału, zupełnie. Albumy w Polsce stanowiły towar deficytowy, więc i tak każdy kupował. Sprzedawali spod lady. Miały powodzenie, ale były to albumy nie twórcze, a takie lepsze kopiowania rzeczywistości. Powiększone foldery. Bywały albumy na tamte czasy potraktowane po nowemu. Trudno szło jednak przekonać redaktorów, dyrektorów do albumów typu literackiego. Wierzbę ze wstępem mojej siostry Julii stanowiły przełom. Nagrodzony zostałem za literackość fotograficzną Wierzb. Poligrafia jest przyjacielem fotografa. Właściwie nie może on działać bez pięknych albumów, pięknej fotografii w pięknych magazynach, fotografia dzisiaj stała się masowa, bardzo popularna. Biznes wielkich firm idących na pewną łatwiznę powoduje jednak, że fotografia jakby sama podważa swoje możliwości.*

## **Człowiek szczęśliwy**

Promocja albumu *Mój Lublin* dała Edwardowi Hartwigowi możliwość przeżycia niezwyklej satysfakcji. Przy promocji *Mój Kazimierz* również jej doznaje.

- *Niesamowita rzecz. Taki tłum ludzi przychodzi. Sprzedaż albumów na pniu. Rzeczy niespotykane. Ja się dziwię, ja jestem bardzo wzruszony - wyznaje stary mistrz. - Już teraz mam zamówienia na wystawę na moje dziewięćdziesięciolecie. We Wrocławiu i w Krakowie. Mam trzy wystawy w kraju. Szczególnie cieszy mnie to, że ja na tych wystawach mam młodą widownię. Zwykle przecież młodzi mówią: co my do wapniaka, my budujemy nowe. I mają rację, budują. A jednak przychodzą i ja jestem oczarowany. Ta widownia to coś wspaniałego.*

Wiekowy artysta prawie teraz nie fotografuje. Odkrywa na nowo zgromadzony przez siedemdziesiąt lat twórczości materiał. Zwłaszcza przedwojenny.

- *Przez tyle lat prawie go nie znałem. Z pomocą moich córek układam ponownie i oczy przecieram. Sam widzę, że są to rzeczy ciekawe, i nawet nowoczesne. Jestem człowiekiem szczęśliwym, choć w życiu oczywiście było różnie. Byłem w obozie NKWD, przechodziłem różne tyfusy takie czy inne. Poza tym jestem wcześniak i rodzina miała ze mną jako słabeuszem same kłopoty. W wacie mnie matka trzymała, nie było inkubatorów. Byłem takim pupilkiem, aż mi wstyd. I stało się tak, że pomaleńku, pomaleńku doszedłem do chwili obecnej. Teraz ja, ten słabeusz, z rodziny Hartwigów zostałem sam z Julią. Inni pomarli. Kazimierz i Lublin to są moje gniazda, których wspomnienie zabiorę na tamten świat. Ale oczywiście bez pośpiechu z tamtym światem - uśmiecha się Edward Hartwig. - Chce mi się jeszcze pracować, bo córkom muszę coś jeszcze zostawić. Teraz robimy remanent. Już przedstawiłem nową makietę albumu, mam materiał na*

*następną. Wszystko uporządkuję, a mam tego bardzo, bardzo dużo.*